Rok IV.

Nr. 22. Nr. 22.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 30 maja 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

O paleniu zmarłych zamiast pogrzebu.

(Ze stanowiska naukowego).

(Ciąg dalszy).

VI.

Gdyby już nie było żadnego innego — do przeinaczenia obecnego sposobu chowania zmarłych, krom tego względu, że za często skazujemy na najokropniejszą ze znanych śmierci — pozornie umarłych (w letargu), to już ten jeden wzgląd powinienby wystarczyć, zwłaszcza, że częściéj się ten wypadek nadarza, niżeli to sobie wystawiamy.

Przypominamy tu w tych dniach podawaną przez gazety europejskie wiadomość — o pochowaniu żony ukochanéj, zmarłéj niedługo po ślubie pewnemu kupcowi w Paryżu. W rok po pogrzebie, gdy wdowiec żenił się powtórnie, matka zmarłéj życzyła sobie, ażeby ciało jéj córki przeniesiono z rodzinnego grobu męża do rodzicielskiego grobu familijnego. Wtedy dopiero się przekonano, że ta nieszczęśliwa odbiła wieko trumny, wyszła z niéj i skonała przy kracianych drzwiach grobowca w postaci zwitéj kurczami — z poplątanemi w rozpaczy palcami.

Przypominamy wzruszającą scenę radzcy ziemiańskiego de Fernow w Inowrocławiu, tyle szanowanego i szlachetnego urzędnika pruskiego, nad otwartym grobem odkopanéj w kilka dni po pogrzebie ubóztwianéj młodéj żony jego. Leżała wywrócona w trumnie, z poobgryzanemi z bólu palcami i pokaleczonem ciałem o ściany trumny, z któréj nieszczęśliwa usiłowała się wydobyć.

Jeżeli się to zdarza osobom ukochanym majętnym, przy chowaniu których nie było ani pospiechu, ani nie zaniedbano zwykłych środków ostrożności, nakazanych przez władze: światłym lekarzom, policji i duchowieństwu, — i to w miastach — ileż być może i musi wypadków tam, gdzie w ubogich, miejskich czy wiejskich kołach panuje raczéj przesąd — niż światło, — gdzie starają się jak najprędzéj uprzątnąć umarłych z towarzystwa żywych, a zwłaszcza zmarłych nie lubianych.

Rok rocznie podają nam gazety przykłady takich śmierci — osób naturalnie z inteligencji, — a ileż wypadków przemilcza się nawet rozmyślnie? — ileż nie dochodzi wcale do naszéj wiadomości?

Zgroza i trwoga jaką napełnia lud cmętarze o północy, — podania o pokutowaniu tamże duchów, — o upiorach, — o jękach podziemnych — mają swoją rzeczywistą, okropną, podwójną podstawę: jedną w zakopywaniu żywych, — a drugą z wyników zatrucia powietrza przez gnijące tamże ciała.

Bynajmniéj nie są fantazją, przesądem czy przywidzeniem jęki wychodzące ze cmętarzów, słyszane nocą przez przechodniów! Mianowicie po zaraźliwych chorobach jak cholera, tyfus i t. p. nocne jęki te napełniają strachem mieszkańców w pobliżu cmętarzów. Bardzo często wspominano autorowi niniejszego poglądu na tę sprawę o straszliwych głuchych, podziemnych rykach po cholerze 1831—32, wydobywających się z cmętarzów miast Warszawy, Kalisza, Poznania, Pleszewa, Strzelna, Torunia, Wrześni, Berlina, Paryża i t. d.

Nie ma grabarskiéj rodziny, którąby godzinami nie umiała opowiadać przeraźliwych dożytych lub słyszanych strachów. Nieraz słuchaliśmy o okropnych walkach jakie staczano z wykopanymi umarłymi, gdy im obrzynano palce dla uzyskania pierścionków, — albo gdy ich obdzierano ze szat. Po rozpaczliwych długich zapasach padały te ofiary pod obuchem motyk i rydlów, kamieni lub noża grabarzów i grabarek! Może niejedno z tych opowiadań toczyło się pod postacią nibyto przygód, jakie poprzednikom się zdarzały, — a było osobistą walką samych opowiadających, — zwykle najnikczemniejszych potworów ludzkich: grabarzów, grabarek, bab i służby

kościelnéj. Najnikczemniejszych powtarzamy — bo zaiste w téj klasie ludzi — cześć dla umarłych, w ogóle wszelkie uczucie świętości w innych staje się dla nich rodzajem towaru, nad którego doniosłością spekulują. Takich mięszanin cynizmu z przesądem, gusłami i chciwością zysku, — jakiegośmy się nasłuchali i dopatrzyli w téj kaście w Niemczech, Francji, Włoszech i u nas — trudno pojąć, — bo o tych walkach z „upiorami" na cmętarzach opowiadano nam z taką często dobrodusznością, jak jaki strzelec o zabiciu — lisa lub wilka.

Tym pojęciom, rozsiewanym przez téj kasty ohydy w lud, — przypisujemy głównie do dziś dnia panujący n. p. w Karpatach i w innych nie górskich nawet okolicach Galicji — przesąd wykopywania upiorów, t. j. niełubionych osób w gminie, ażeby im ucinać głowy, i trzema święconemi gwoździami przedziurawiać czaszkę dla tego, ażeby dłużéj nie mogły niepokoić ludności żywéj. Autor sam był nieomal świadkiem walki, jaką stoczyć musiał dyrektor huty szklannéj w Mikuliczynie, przy granicy węgierskiéj, w dobrach Nadworna w Galicji — p. Jan Nepomucen Gniewosz — w 1871 r. z ludem, zgromadzonym po naradzie na cmętarzu, ażeby odkopać jakąś babę czarownicę, która tam nocami ryczała w grobie, i rykiem swym przestraszała bydło i ludzi. Z rewolwerem w ręku zaledwie rozpędził gromadę chłopów i bab, bo słowami nie mógł odwieść ludu od zamiaru, ażeby téj kobiebie — już wykopanéj — nie ucięto głowy i nie przebito czaszki gwoździami. Czaszkę taką z tkwiącemi ogromnemi szynalami, jeszcze z pogańskich czasów podobno pochodzącą, pokazują w Krakowie w muzeum Towarzystwa Akademji, — ale i z naszych czasów bardzo świeżych nie jedną nabyćby można.

Nadmieniwszy o chowaniu żywcem urzędowo, czy to zakopywanych, czy w grobowcach, dodamy, że tego rodzaju śmierci głodowéj możnaby bardzo łatwo zapobiedz tém, żeby prawem nakazywano wlanie umarłymu w usta trucizny gwałtownéj, urzędownie — po sekcji obowiązkowéj n. p. sublimatu rtęci lub kwasu pruskiego.

Tém jednakże nie zapobiegnie się innéj jeszcze szkodliwszéj, już nie dla zmarłéj samej osoby, ale dla żywych w tysiącach mieszkańców klęsce, t. j. truciźnie, jaka się z grobów i cmętarzów wydobywa, — a to w skutek gnicia ciał ludzkich.

VII.

Znajomym jest przykry trupi zapach, jaki czuć się daje wstępującym w progi naszych zwykle bardzo źle przewietrzanych kościołów. Pochodzi on głównie z trupów — tamże dla obchodów pogrzebowych przystawianych czasami na kilka dób. Z umarłego bowiem — skoro się krwi kuleczki strzępić zaczynają — wywija się tyle gwałtowna trucizna, że rok rocznie z lekarskich uczniów przy uniwersytetach, padają ofiarą śmierci tacy, którzy przy sekcji trupów mieli gdzieś choćby najlżéj zadraśniętą skórkę u ręki. Ukłucie się najnieznaczniejsze skalpelem albo szpilką służącą do przytrzymywania części odkrojonéj skóry lub mięśni trupów — jest uśmiercającém. Trucizna ta jest nawet i lotną. Ze zgniłego zwierzęcego ciała rozwijają się — uśmiercające gazy. W 1752 w Chelwood-London otworzono grób i wyjęto z niego ciało przed 30 laty w dębowéj szczelnéj trumnie złożone. Zmarły skończył na ospę. Z trumny mało co i przypadkowo uszkodzonéj wydobywała się obrzydliwa woń. Z przytomnych temu 14 osób na miejscu, a potém i cała wieś rozchorowała się na ospę.

W Saulieu (w Burgundji) w 1773 r. z obecnych 170 osób przy otwieraniu grobowca familijnego, w który wstawiono innego trupa, 149 zachorowało na tyfus.

W Metz kościół farny razu pewnego trup kobiecy tamże wystawiony tak dalece zatruł, że musiano go na czas niejakiś publiczności zamknąć.

W Niemczech w pewnym protestanckim kościele — zeszłego wieku stały na katafalku zwłoki pewnéj damy. Nazajutrz, po ich wyprowadzeniu, ze 180 komunjujących, w kwadrans 60 osób zachorowało, a z tych kilku umarło. Posądzano — o zatrucie wina użytego do tego obrządku. Przyaresztowano kościelnego i organistę i torturowano ich, ażeby się przyznali do winy. W skutek śledztwa na rozkaz władz — postawiono na ołtarzu kielich z winem. Do tego płynu zleciało się tysiące muszek w ciągu godziny. Z kierunku nadfruwających muszek zwrócono uwagę, że wylatywały z grobowca, w którym 14 dni poprzednio złożono zwłoki owéj damy. Z czterech ludzi, którzy grób ten otworzyli, umarło zaraz dwóch, a dwóch ledwo z choroby do zdrowia wróciło.

Z tysiąca przykładów te tylko przytaczamy, dla tego, ażeby uwydatnić przyczyny, dla których i teraz w miesiącu lipcu we Wiedniu ma się zgromadzić kongres międzynarodowy tak zwany choleryjny, a mający na celu, ażeby ucywilizowanego świata rządy zajęły się sprężystém uporządkowaniem w Arabji i w Indach sposobów pogrzebowych. Do Arabji bowiem, jak i w Indach, pątnicy w ilości setek tysięcy ściągają z dalekich stron na odpusty religijne. Nam najbliższa Mekka, rok rocznie zwabia do grobu Mahometa pielgrzymów w ilości przeszło 300,000, z których tysiące mrą tamże z niewygód długich podróży i z niewygód miejscowych. Do tych trupów jeszcze przyłączają się setkami padające wielbłądy i konie. Ani siły pogrzebowego personału, ani środki zaradcze nie zdołają na czas uprzątnąć i w dostatecznéj głębi zagrzebać te trupy, i ztąd tam jad cholery roznoszą wracający na wszystkie strony, aż do Europy. Sprawę tę pierwszy wzniecił rząd francuzki za 2go cesarstwa jeszcze — i protokuły konferencji odbytéj w Carogrodzie, spisane na przeszło 1000 kart in 4o, przedstawiają namacalne dowody nietylko uprawniające to twierdzenie co do źródła cholery, ale i potrzebę zaradzenia złemu. Ta ostatnia już zpowodowała: nietylko prawa nowe we wszystkich państwach europejskich, tyczące się zdrowia publicznego, ale nadto zespala usiłowania, ażeby téj pielgrzymce wiernych do grobu proroka położyć pewną jeżeli nie tamę — to przynajmniéj utrudnienie. Nadto mają ułożyć nowe prawo międzynarodowe, obowiązujące wszystkie ucywilizowane rządy — do wspólnego działania przy dozorze, ażeby ciała zmarłych ludzi i zwierząt były nietylko w czas, ale i dość głęboko zagrzebywane, i nadto żeby przez urządzenia stósowne szpitalów, lekarzów, aptek i t. d. zapobiedz o ile można téj perjodyjnéj śmiertelności, wywoływanéj fanatyzmem religijnym muzułmanów i czcicielów Brahmy.

Ztąd wzięły pohop i te dziś liczne już głosy — za paleniem raczéj, niż za grzebaniem umarłych, i zwrócenie uwagi na skutki chowania zmarłych po cmętarzach w blizkości miast.

Wykazano, że zwykle śmiertelność w pobliżu cmętarzów, mianowicie w czasach zaraźliwych chorób, jest większą, niż gdzieindziéj; udowodniono, że studnie w pobliżu cmętarzów mają zatrutą wodę, — że tyfus, febry żółte, cholera, biegunki krwawe i wiele innych chorób są **zagnieżdżone** trwale w okolicach wielkich cmętarzów. Dla tego zamknięto w Paryżu od 1 stycznia bieżącego roku sławny cmętarz Père la Chaise (czytaj perlaszez), oraz i cmętarz Mont Parnasse (mąparnass).

W skutek tego zestawienia konów (faktów) co do zatruwania powietrza w Arabji i w Indach, zaczęto zestawiać i inne kony, z naszych czasów, jakie w Europie się zdarzyły — i rozmyślają już jakby zapobiedz nawet tym klęskom, jakie po wojnach, przez grzebanie na pobojowiskach tylu trupów, dla zdrowia publicznego powstają.

„Trupy, pisze jeden sprawozdawca do gazet francuzkich z wojny krymskiéj, — trupy w około Sebastopola pochowanych bojowników zdają się rozmnażać i szkodzić nam wraz z naszymi nieprzyjaciołmi. Dopiero co nasi najgorętsi sprzymierzeńcy, nasi najdzielniejsi bohatyrowie, — są dziś najzjadliwszymi naszymi wrogami. Ciała ich bardzo mało albo wcale nie pokryte ziemią, wyziewają zabójcze trucizny w postaci gazów niewidzialnych i te nas dziesiątkują jeszcze pewniéj, jeszcze gruntowniéj niż kule lub broń wrogów. Przysłano nam wprawdzie biskupa, ażeby poświęcił groby, w które masami nawsypywano trupy, ale święcona woda nie zbezwładnia téj zarazy. Najlepsi nasi przyjaciele trują nas. Tak rycerze, jak i konie, co nas sławą okryli pod Bałakławą, teraz swą zgnilizną wyrywają nam dotkliwiéj i stanowczéj zwycięztwo z ręki, niż morderczy ogień nieprzyjaciela.“

Już podczas oblężenia Gaëty w 1861 skarżono się, że masa poległych ludzi i koni więcéj niweczy załogę burbońską, niżeli pociski Cialdiniego, Manabreji i Cavalli'ego. Nawet na radzie wojennéj w skutek raportów: że tysiącami padają ludzie w lazaretach na plamiasty tyfus (febbris petechialis) z powodu tych wyziewów, — zaproponowano palenie zmarłych i poległych, na co jednakże burbońscy katoliccy radzcy nie zezwolili, jako na sposób niezgodny ze zwyczajami kościoła.

Na kongresie międzynarodowym lekarskim we Florencji 1869 r. w skutek raportów o niebezpieczeństwach jakie wynikają z blizkości cmętarzów — i ze sposobów obecnie używanych dla grzebania zmarłych, mianowicie w wspólnych grobach, — uznano, że trzeba koniecznie palić trupy ze względu na publiczne zdrowie. Mianowicie przy tyle zbitéj ludności wielkich miast jak Londynu, Paryża, Berlina, Wiednia, Rzymu lub Neapolu, — ilość codzienna trupów chowanych w wspólnych grobach jest bardzo znaczna. Lubo nasypują warstwami trupy — i warstwami wapno palone niegaszone tudzież chlorkowane — i dopiero to wapno się gasi cieczą trupów — to jednakże ten chemijny proces ciał zmarłych rozpuszczania, nie prostego grzebania, nie wiele się przyczynia do oczyszczenia powietrza, bo i z wapnem skąpią, i ono ostatecznie nie rozpuszcza ani dość szybko, ani dostatecznie nie chłonie zjadliwych jadów gazowych, wywiązujących się ze zgnilizny ciał.

Gorzéj tam, gdzie — jak n. p. w Neapolu — nawet i wapna nie używają. Tam codziennie otwierają inny murowany grób na 20 do 30 trupów. Po zachodzie słońca z owych 20—30 najętych trumien, które kapucyn spiesznie święconą wodą pokropi — wydobywają trupy mężczyzn, kobiet i dzieci, nagie, brudne, niektóre łachmanami okryte, i wrzucają je w otwór grobu, który od przeszło stu lat do tego samego służy użytku, a że tych grobów jest 366, przeto co rok jeden się otwiera dla nowych przybyszów. Przez ten przeciąg czasu utwarza się rodzaj szlamu, w który wpadają wrzucane trupy kląszcząc. I nakrywają grób kamiennemi płytami, ażeby znów go po przeciągu roku otworzyć. Że tego cmętarza trwałe i ciągłe mordercze wyziewy wiatr rozgania po całéj przestrzeni kraju, jak ze cmętarzyska Mekki — to naturalne. A ileż to innych jeszcze mniejszych i maluczkich takich źródełek zarazy po żydowskich i chrześcijańskich cmętarzach?

W samym Neapolu — niechrzconych dzieci aż do chwili objęcia rządów przez obecnie panującego Wiktora Emanuela — nie grzebano nawet, lecz rzucano je prosto pod posągiem Matki Boskiéj do kloak na pożarcie szczurom, i to zwykle same matki uskuteczniały.

W ogóle we Włoszech południowych tylko dla bogatszych są trumny, a po mniejszych miastach, jak n. p. Reggio, niosą do grobu umarłych na noszach, na których leżą nieprzykryci i ubrani.

Postępowanie sobie z umarłymi we Włoszech w ogóle — w téj kolebce katolicyzmu — oburzać często może nas, którzy, według pojęć poety Prudencjusza, uważamy umarłych niby za święte ziarno, z którego w dzień zmartwychwstania rozwinąć się ma taka sama postać ludzka, jak z ziarna pszenicy — pszeniczny kłos; nas, co za świętym Augustynem sądzimy, iż jeżeli pierścienie i ozdoby ciała drogich nam zmarłych jako cenne pamiątki szanujemy, — cóż dopiero nie szanować owego pierścienia, który duszę tych osób otaczał?

Wszystkie te atoli nasze szlachetne i uczciwe uczucia dla ciał zmarłych, choćby i najdroższych sercu osób, nie łagodzą surowych praw natury ciał ustrojowych.

W naturze zwykle uśmiercone zwierzęta uprzątane bywają przez robactwo i to z takim pospiechem, że np. z osła w przeciągu trzech dni, w południowych Włoszech, pozostaje tylko szkielet. My grzebiąc umarłych utrudniamy téj policji służbę i jak zwykle — powodując swoją nieudolnością klęski zaraz morowych — spędzamy to na Boga, posądzając go, że nas karze za nasze grzechy!...

Zanieczyszczając sobie powietrze — straszymy bliźnich najnierozsądniéj — nazywając naszą winę: Palcem Bożym!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nie mącć ciszy.

Nie mąć ciszy aniele skrzydlaty,
Strun nie trącaj bo nam coraz smutnéj,
Twą harmonją i twojemi kwiaty
Nie przebudzaj zardzewiałéj lutni.

Śród narcysów i wonnych konwalji
Złóż twe skronie jasny posłanniku,
Słuchaj! — płynie dźwięczna pieśń w gaiku
I wtóruje cichy szelest fali....

Snopy świateł blady księżyc ściele,
I u stóp twych czołga swe promienie,
Czemu przecież promienny aniele
Ku mnie zwracasz tęskne twe spojrzenie!

Nie mąć ciszy melodyjnym tonem,
Który płynie śród majowéj nocy,
Nie mąć ciszy świetnych gwiazd miljonem
Mrugających w błękitnéj przezroczy!

Nie mąć ciszy tém tajemném drżeniem,
Które budzi w sercu piękność twoja,
Patrz u stóp twych klęczę z uwielbieniem,
Lecz zrdzewiała w bólu lutnia moja!

I zagasły młodzieńcze zapały,
Któreś wskrzeszał niegdyś przyjściem twojém,
Nie ma pieśni coby cię witały,
Nie ma wieńców w pustym domu moim!

Struny lutni burze pozrywały,
Kraj marzenia otulony mrokiem,
Nie mąć ciszy, oh aniele biały,
Nie rań serca twym promiennym wzrokiem!

...A.

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Węgielewski odwrócił się ze złością od stojącéj obok Francuzki: wyglądała istnie, jak gdyby była skamieniała. Odwrócił się ze wzgardą — wyszedł — trzasnął drzwiami i do swojego pobiegł hotelu.

Nazajutrz do Paryża wyjechał.

Wincenty Nawrociński do Jana Solińskiego.

Paryż 10 kwietnia 186*.

„Przybyli tu młodzi małżonkowie: Stefan i Cecylja — zaślubieni przedwczoraj.

Może Cię to zadziwi, a może i nie, po tém com doniósł Tobie. — Papa-ojczym telegramem powiadomił, że przybywa — zatém młoda para, chcąc uniknąć przykrości wszelkich i scen dramatycznych — ślub wzięła i czmychnęła.

Pan Stefan już poprzednio z namowy mojéj i przyczyny, przysposobił do tego aktu kapłana, którego uprosił, zmiękczył jego serce i argumentami przekonał, że da im szczęście i zbawienie. — Mea culpa! wyznaję — lecz innéj nie było rady. Ratowałem dziewczę, które podstępna srogość, czyli — nazwiejmy rzecz po imieniu — podłość ojczyma byłaby do rozpaczy przywiodła.

Powtórzę raz jeszcze: Stefan Żarczyński jest ze wszechmiar szacunku godnym młodzieńcem.

Gdym uprzedził Adolfa, że Cecylja przybyła, wzruszył się widocznie, a z ust jego słabe uleciało westchnienie.

— Czy ci ją przyprowadzić zaraz? zapytałem.

Kiwnął niby obojętnie głową — ale źrenica jego mgławym połysnęła wyrazem.

Wprowadziłem ją. Uzbroiła się w odwagę i siłę, by płaczem nie wybuchnąć — i rzuciła mu się z uśmiechem na szyję.

— Jakżem szczęśliwa! O jakżem szczęśliwa, że wreszcie jestem przy tobie! zawołała.

— I ja także, że ciebie widzę — odrzekł. Niby łzę miał na oku. A był to pierwszy okaz rzeczywiście głębokiego uczucia, jaki w nim dostrzegłem.

— Braciszku mój! Cecylja przyklękła ręce jego ściskając, ale podniosła się zaraz, przybierając wyraz wesoły, i przy nim usiadła. — Już teraz będziemy razem — mówiła, rękę jego trzymając — pojedziemy pospołu do kraju... Och, ileż to do mówienia będzie!... Ależ Stefan czeka, by ciebie uścisnąć — wybiegła i wprowadziła młodego małżonka.

Pan Stefan objął biedaka i przycisnął do piersi. Adolf zmierzył go wzrokiem — i niby trochę jego pojaśniały rysy: znać sympatycznie przemówił do niego.

— Wszakżeż wkrótce pojedziemy do domu? — ozwała się znowu Cecylja, pochylając się ku niemu.

Kiwnął głową.

— Zmiana miejsca, klimatu... powietrze ojczyste rychło ci siły przywróci. Będziemy ciebie pielęgnowali. Każdą uprzyjemnimy ci chwilę.

— Dobra siostrzyczko! spojrzał się na nią z wyrazem, jakiego w oku jego nie widziałem jeszcze. I błogosławiłem jéj w duszy.

— Podróż odbędziesz wygodnie — ozwał się pan Stefan — z przestankami w piękniejszych miejscach, ażebyś się orzeźwił i wypoczął.

— Chciałbym stanąć co rychléj... tam... — znać nie wiedział, jak się wyrazić, gdzie stanąć pragnął: w domu? Dom matki był wprawdzie domem dla niego — do doma! jak mówią dzieci i prostaczkowie — ale był to także i dom ojczyma!... Zdaje mi się, żem go zrozumiał — żem zrozumiał to jego wahanie się w doborze wyrazu.

— Nie odstąpimy cię, dopóki zdrowym nie będziesz zupełnie — wymówił znowu Stefan.

Adolf smutnie głową poruszył — położył rękę na ręce Stefana — zacisnął usta — przymknął powieki — i westchnął zcicha

— Winieneś sam z téj otrząść się niemocy — Stefan rękę jego uścisnął — chciéj tylko szczerze!

— Teraz... — poszepnął chory — gdy wy jesteście przy mnie... pragnąłbym żyć... Ciepło wieje ku mnie... — pochylił głowę.

Zagadałem, że wszystko do wyjazdu przygotuję — bom widział, że biedaka gorżkie przytłacza wspomnienie — że najdaléj za dni kilkanaście wyjedziemy.

Znowu pokiwał głową.

Młodzi małżonkowie poczęli mu o podróży swojéj opowiadać — o Bruxeli — krasili to, co mówili pewnym humorem, i orzeźwili go widocznie.

Obecność ich jest dla niego zbawieniem prawdziwém. Umilą mu chwile ostatnie — ale... téż i więcéj każą młodego żałować życia — które ubiega, niestety!

Do zobaczenia, mój Janie!

Wincenty.“

* * *

W kilka godzin późniéj przybył Węgielewski do mieszkania Adolfa. Zatrzymał się w pierwszym pokoju — ponury, zasępiony i zły.

Służący powiadomił pana Nawrocińskiego, a ten Cecylją — i wyszli do niego pospołu. Pan Idzi zadrgnął, zobaczywszy pasierbicę i posiniał.

— Papo! zawołała głosem tłumionym, miękkim, bledziuchna jak róża biała, obejmując go ze łkaniem — Adolf umiera!

Węgielewski chciał ją odepchnąć — ale aż niby zdrętwiał pod wzrokiem prawnika, jakim ten go przeszywał.

— Postąpiłaś sobie niegodziwie! wyrzucił papa przez zęby.

— Stało się, panie Idzi! wymówił Nawrociński z przyciskiem na wyrazie każdym — „a co się stało, odstać się nie może“ — wyrzekł już ongi Zygmunt August. C'est un fait accompli! Cecylja godny siebie uczyniła wybór: pan Stefan Żarczyński do najgodniejszych, do najszlachetniejszych należy ludzi.

Węgielewski zaciął zęby — i widocznie sam nie wiedział, jaką miał odegrać rolę: co jemu do zrobienia pozostało jeszcze.

Cecylja płakała — płakała łzami długo powstrzymanemi — łzami głębokiego żalu nad nieszczęśliwym stanem brata, przy którym lica w spokoju wyraz, a nawet i wesela ubierać musiała. Papa-ojczym łez jéj nie wywołał bynajmniéj: żalu przecie nie miała żadnego — znikło dlań przywiązanie i szacunek — a pod opieką męża już i nie lękała się niczego.

Węgielewski przeszedł się razy parę po pokoju. Potém przystanął i przez zacięte ciągle zęby zapytał:

— A więc co?... To i jakżeż tam Adolf?

— Adolf jest umierającym! jękła boleścią przybita siostra.

— Dogasa. Jest bez ratunku! dodał Nawrociński, opierając wzrok swój przenikliwy na ojczymie.

Chwila milczenia potrwała i tylko ciche łkanie Cecylji słyszano.

— Postąpiłaś sobie niegodnie! powtórzył Węgielewski znowu, z wybuchem gniewu, stawając przed płaczącą.

— Nie mogłam inaczéj! odrzekła z dziwną tkliwością w głosie. — Niechaj Bóg dobry mnie sądzi! Niechaj mi przebaczy, jeżeli zbłądziłam.

— Panie Idzi! ujął go prawnik pod rękę — nie dręcz jéj więcéj: co się stało, już się nie odstanie. A dziękujcie raczéj Bogu, że Cesia kochana tak zacny zrobiła wybór. — Przyprowadzę ci pana Stefana Żarczyńskiego, powitaj go i przyjmiéj jak się należy.

Nawrociński wyszedł. Węgielewski stanął przy oknie — jak gdyby się sposobił na przyjęcie małżonka Cecylji.

Po chwili prawnik wprowadził Stefana. Ten przystąpił do ojczyma żony uprzejmie — przybrawszy twarz w wyraz poszanowania, kłamanego naturalnie — ale kłamać musiał. Och, ciężki, gorżki to dla duszy taki przymus!

Węgielewski powitał go chłodno-grzecznie. Późniéj jednakże oprzytomniał więcéj, znać sam przyszedł do przekonania: że co się stało, odstać się nie może. Wreszcie, że potrzeba pozory ratować — bo tam Adolf umiera! . — Pan Idzi przecie miał rozum.

Po niedługiéj, ale coraz grzeczniejszéj rozmowie — udali się do pokoju chorego.

Nieszczęśliwy młodzieniec spojrzał na ojczyma wzrokiem zamglonym i zatrzymał na nim nieruchomo szklistą źrenicę, z tak dziwnym wyrazem, że aż przerażało.

— Jak się masz, Adolfku? zapytał pan Idzi i pocałował go w czoło.

— Bardzo dobrze — odrzekł chory z gryzącéj ironji goryczą, i odwrócił się w stronę przeciwną.

— Matka całuje cię serdecznie.

Adolf zlekka głową poruszył.

— Ździś kazał cię uściskać.

Na lica chorego powiał lekki odcień szyderstwa.

— Cieszymy się bardzo, że wracasz do domu. Na wsi, w powietrzu wiosenném, rychło odzyskasz zdrowie.

Adolf coś odmruknął, czego zrozumieć nie było można.

— Pałac w Skarbowie będzie całkiém wykończony tego lata. A Skarbów taki jest piękny!

Adolf syknął, jak gdyby ból poczuł wewnętrzny.

— Ogród pięknie urządzony.

Chory dał znak ręką, by nie mówił więcéj — i przymknął powieki.

Milczenie głuche — cierpko-żałosne w pokoju zaległo.

Pan Idzi, po takiém przez pasierba przyjęciu, stawał się coraz układniejszym i gładszym. A wieczorem, przy herbacie, już wcale przyjemnie ze Stefanem gawędził.

Po dniach kilku Węgielewski Paryż opuścił. Adolf, Cecylja, Stefan i Nawrociński mieli późniéj dopiero wybrać się w podróż. A radzi byli wszyscy, że się niemiłego towarzysza pozbyli.

Prawnik robił wycieczki w dalszą okolicę Paryża. Cecylja i Stefan na jedną chwilę nie opuszczali chorego — myśląc o tém tylko, jakby mu dogodzić i biedne uprzyjemnić życie.

Wyjechali pospołu 28 kwietnia. Wzięli dla siebie wagon cały, by chory wszelkie możebne mógł mieć wygody. Na noc każdą zatrzymywali się w drodze — a niekiedy i po dni parę. Więc też dopiero dziesiątego maja granicę przejechali kraju.

IX.

Gdy przed pałac w Żurawinie zajechała kareta, z któréj wyniesiono Adolfa; pani Węgiolewska na widok jego o mało że nie zemdlała. Objęła go za szyję — przyciskała do serca z płaczem — bo macierzyńskie w niéj zbudziło się uczucie. Pocałował ją w rękę... przymknął powieki i zwiesił głowę. Poniesiono go do przeznaczonego dlań apartamentu. Matka rzuciła się na krzesło.

Nadbiegła Cecylja, upadła jéj do nóg i do jéj przytuliła się kolan. Pani Węgielewska odepchnąć ją chciała.

— Uściśnij pani córkę, dobrą, kochającą, bo syna tracisz! zagrzmiał jéj Nawrociński nad uchem.

Zadrgnęła — pochyliła się — i jakby posłuszna rozkazowi, córkę w objęcie przyjęła.

— Powitaj pani zięcia! mówił daléj prawnik, głosem stłumionym, ale znowu rozkazująco bo nie mógłbyś godniejszego znaleść. — Wyszedł i przyprowadził Stefana.

Małżonek Cecylji przykląkł obok żony i pochylił się do stóp matki.

— Pobłogosław mamo! błagała Cecylja.

Pani Węgielewska pod magnetycznym prądem wzroku prawnika, położyła dłonie na głowach klęczących przed nią — i rozpłakała się. Cecylja ją objęła z czułością i jak dziecko tuliła się pieszczotliwie do niéj.

Prawnik wymknął się zcicha, zostawiając ich samych, i dziękczynnie w duszy sobie poszepnął: „Chwała Bogu! Uratowaliśmy dziewczę przynajmniéj.“

* * *

Nazajutrz pojechał pan Nawrociński ze Stefanem nasamprzód do pana Andrzeja Niwinieckiego — a potém do pana Mateusza Karwoszewskiego — należało się koniecznie przedstawić im małżonka pupili. — Obadwa powitali ich z radością serdeczną: pan Andrzéj wniósł zdrowie młodéj pary szumiącym szampanem; pan Mateusz starym, z omszonéj butelki węgrzynem.

— A cóż tam Adolf? zapytał pan Andrzéj, zpochmurzony nagle i potarł dłonią czoło.

— Dogasa, umiera — odrzekł Nawraciński.

— Szkoda chłopca! Wielka szkoda!... Ha! za nadto szafował zdrowiem.

— Potrzeba go było od dawna z tego nowożytnego wywieść Babylonu — wymówił prawnik znacząco.

— Zapewne! Zapewne! Jam tego z całéj duszy pragnął. No, ale... nie dało się jakoś. — Za to nam się Cesia udała, nawet udała się bardzo: istna to perełka! — zagadał, odtrącając tamten niemiły przedmiot.

— Cesia pod szczęśliwym zostawała wpływem — wyrzekł prawnik z przyciskiem.

— Otóż to! Otóż to! Chwała ci Boże!

Pan Andrzéj nie zapytywał wcale, jaki to był wpływ — może go nawet i opiece przypisywał.

— Adolf i zdolny i szlachetny — ozwał się Nawrociński znowu przekornie — stałby się może ozdobą obywatelstwa, gdyby go nie było paryzkie zabiło życie.

— Słowo honoru, nie wiedziałem nawet jak to tam było! zawołał pan Andrzéj z nagłym na licu rumieńcem. — Matka jeździła do niego .. pan Idzi . Kochany panie Stefanie! zwrócił się ku temu — jeszcze kieliszeczek! Za zdrowie i pomyślność Cesi!... Będę ja tam, będę wkrótce z panem Mateuszem w Żurawinie. Da Bóg doczekać, może już pojutrze.

* * *

— No, z Adolfem przecie tak źle nie jest? zagadał do gości swoich pan Mateusz, podając kochanemu panu Wincentemu kielich perlącego Tokaju.

— Jest konającym! odrzekł Nawrociński.

— Ej, przyjdzie do siebie! Młody! Na świeżém powietrzu odżyje. Widziałem już niby-to umierających,

którzy po niedługim czacie znowu do czerstwego wrócili zdrowia.

— Tym razem tak nie będzie, niestety, panie Mateuszu! Adolf tchnie tylko jeszcze ostatnim wysiłkiem: skona, uśnie...

— Doprawdy?! sposępniał pan Mateusz, że aż mgłą zaszła mu źrenica. — Hm! To źle! Źle bardzo! Któżby się tego był spodziewał?... Serdecznie mi żal chłopca!... Suchoty, tak suchoty! Pewnie i familijne, bo ojciec na piersiową umarł chorobę.

— Jego Paryż zabił!

— O!! pokręcił głową pan Mateusz — już to ja, bo zawsze przeciwny wszelkim jestem Paryżom.

Pan Wincenty westchnął i ramionami ruszył.

Za powrotem do Żurawina napisał do Solińskiego między innemi:

„Opiekunowie — uważam — są radzi, że się opieki pozbędą, quand même!... Ciężyła im i nudziła ich. — Skarbów zaszargany straszliwie z zyskiem dla papy-ojczyma — lecz biedny Adolf wkrótce już i niczego potrzebować nie będzie, prócz... wystawnego pogrzebu — bo taki wyprawią mu z pewnością! — Księży będzie multum — mów parę, pochwalnych dla matki i ojczyma — sześć koni przy karawanie — i stypa we wszelkie delikatesy obfita i wina. — Nadto będą i arcyszumne po dziennikach artykuły i nekrologi. Sic transit gloria mundi! — Tfu!!!

Tarnówka ma także hipotekę zamazaną porządnie — zawsze na korzyść pana Idziego — lecz Stefan będzie pracował i wywindykuje ją szczęśliwie — bo pracować umie. — A Ździś będzie bogatym bardzo!!“

Dnia następnego wyjechał pan Wincenty, gdzie go inne przyzywały obowiązki — pożegnany łzami wdzięczności Cesi a serdecznym uściskiem Stefana. I Adolf spojrzał za nim z wyrazem żalu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nie dmijcie wichry.

Nie dmijcie wichry, niech na błękicie
Zabłyśnie gwiazda w niebios zenicie,
I świetnym blaskiem zapłonie.
Nie dmijcie wichry, niech się kołysze
Łódź otulona w niebiańską ciszę,
Na morza spokojném łonie!

Nie dmijcie wichry dopóki zorze
Różowym blaskiem pozłaca morze
I słodko fale szeleszczą.
Póki serc młodych szczytne zapały
Wskrzeszać zdołają cne ideały
Marzeniem duszę swą pieszczą!

Nie dmijcie wichry, niech na wyżyny
Zielone idą zrywać wawrzyny
Co mają spłynąć na czoło.
Niech ster żywota ująwszy dłonią
Nad przepaścistą żeglują tonią,
Choć twarde skały w około!

Niechaj otoczą skronie młodzieńcze
Z róż i narcyzów woniące wieńce
Plotąc rozkoszną koronę.
Lécz gdy czar marzeń w duszy przepadnie,
Widmo zwątpienia zostawi na dnie,
Zadmijcie wichry szalone!

Kołobrzeg w lipcu.

Uriela.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Wilhelm Obermüller. Urgeschichte der Wenden. Eine historisch-ethnologische Untersuchung über die vor den Deutchen in Mittel-Europa eingewanderten Völker. 1874. Berlin. Denickes Verlag. Link et Reinke.

Dla nadania sobie pewnych podstaw prawnych do gwałtownego niemczenia ziem sławiańskich, wmawiają w siebie Niemcy, że będąc pierwotnymi mieszkańcami środkowéj Europy, ustępować musieli ongi przed nawałnicą cisnących się ze Wschodu ku Zachodowi Sławian-przybyszów, i że dzisiaj zabierać powinni to, co im się słusznie należy od wieków. Zdanie to, niby oparte na sumiennych badaniach pamiątek i na pilném śledzeniu śladów dziejowych, uchodzi u nich za wyznanie wiary narodowéj, przeciw któremu, pod karą posądzenia o zdradę, żadnemu Niemcowi występować nie wolno.

Na przekór temu zagrożeniu ogłosił p. Obermüller, autor historyczno-geograficznego, niemiecko-keltyckiego Słownika, — rozprawy p. n. „Die Amazonen, Sarmaten, Jazygen und Polen“ i innych prac tego rodzaju, — powyżéj wymienione dziełko, w którém odstępując od powszechnie u Niemców i u nas przyjętych zdań o starożytnych Sławianach, zbija dotychczasowe twierdzenia, stawia odważne hypotezy i przeprowadza oryginalne nieraz wywody.

Zwracając tedy uwagę naszych Sławianistów na tę pracę p. Obermüllera, ograniczam swe sprawozdanie na przytoczeniu tu niektórych z niéj ustępów:

„Znane powszechnie pod ogólném mianem Sławian szczepy pobratymcze zamieszkiwały długo przed przybyciem Saksonów niemieckich i Swewów nietylko w dzisiejsze siedziby swoje, ale rozciągały się wzdłuż Bałtyku i Morza północnego, sięgając po góry Harc, a ztamtąd aż do saméj Belgji. Tam nad Renem, obok Franków i Fryzów, spotkać ich możesz u Prokopa pod nazwą Warnów czyli Werynów, — w Ardennach u Appiana jako Kymbrów czyli Nerwów, — u Herodota zaś pod mianem Neurów na Podolu. Wangiony z nad Wyższego Renu, na polach Wormskich, niezawodnie także byli Wendami czyli Sławianami; uain bowiem oznacza łąkę, a uainda e są to Wendy czyli chodownicy bydła; tak samo określa skórę bydlęcą wyraz uang czyli sang, a ztąd pochodzą zakończone na wangen nazwy miejscowości. Również znaczenie zawiera miano Werynów czyli Warnów, bo fearan czyli fuirion oznacza pole lub łąkę. Wangiony tedy osiedli w Gormacji czyli na Borbetomaghu t. j. na zieloném polu; gorm bowiem znaczy zielony, magh pole lub dwór, a iathia kraj, z czego następnie utarła się nazwa Worms. Warnowie zaś gospodarzyli pierwotnie w położonéj między Turyngją a Niższym Renem ziemi, zkąd ich następnie

wyparli Swewy i Saksony; ten sam los spotkał Wangionów, których zalali belgijscy Nemedowie, a następnie swewo-chattyjscy Alemany. Ci Nemedowie, których stolicą stał się z czasem Szpir, przybyli z Irlandji i Anglji. Pierwotni Chattowie pochodzili także od Nemedów. Wyszli oni, wedle podań iryjskich, z Niższego Egiptu i ciągnąc przez Hiszpanję. przybyli na wyspę starożytnych Batawów; ztąd pozdobywali wszystkie kraje nadreńskie, w skutek czego osiedlona tam poprzednio ludność wendyjska czyli wangiońska została częściowo wypartą, częściowo ujarzmioną przez najezdników. Chattowie wyparli także zamieszkałych w Hassji Wendów do Turyngji, gdzie ci w późniejszych czasach występując pod nazwą Werinów, zlali się z niemieckimi Anglami w jednę całość i stali się mieszkańcami Turyngji, jak o tém świadczy Lex Angliorum et Werinorum id est Thuringorum. Warnowie z okolic Wyższego Renu przenieśli się do Szwajcarji, a ztąd pod mianem Umbrów do Italji. Sabinowie czyli Sabellowie, plemię rólnicze, pochodzili od tychże Umbrów; sabhal bowiem znaczy bojowisko, amber, umber, omber dziki wojownik. Ich Izydą czyli boginią owoców była Feronia, ta sama co u Werynów, a w Holsztynie spotykamy Sabellów w nazwie Sabalingów. Starsi od nich Wendowie zachowali się po dzień dzisiejszy w najbardziéj na północ położonéj Jutlandji.

Że podania iryjskie wraz z dawnym językiem Erinu i Szkocji są źródłem do pierwotnych dziejów Zachodniéj Europy, pochodzi to ztąd, że wspomniana wyspa była jedyną, na któréj najezdnicy nigdy dość silnie usadowić się nie zdołali, ażeby módz odwieczne wspomnienia całkiém zatrzeć, czego niestety w całéj prawie Europie Środkowéj dokonywały częstokrotne napady skytyjsko-kaukazkich i saksońsko-gotyckich ludów. W tak zwanych krajach sławiańskich Europy Wschodniéj zachował się przecież język dawny wraz ze znaczną liczbą pamiątek, ale Sławianologja dzisiejsza usiłując poczęści sprowadzać pochodzenie całego świata sławiańskiego z Kijewa, tamuje wszelkie dalsze i głębsze w tym zakresie badania…

Sławianie przybyli do Europy przed Niemcami… wyszli oni pierwotnie, jak o tém język ich świadczy, z Arji czyli Medji, również jak Chaldeje czyli Keltowie. Różnica, jaka istnieje pomiędzy nimi, zasadza się na tém jedynie, że Sławianie pochodzą z warstwy rolników i chowaczy bydła… podczas gdy Chaldeje należeli do kasty wojowników……

Starodawnych Skytów kaukazkich oraz i pochodzących od nich Sarmatów nie należy liczyć do Sławian czyli Wendów, aczkolwiek także wyszli z łona szczepu chaldejskiego i tém samém aryjskiego — a to ze względu na to, że nie należeli do warstwy rolników. Dla tego téż, w ścisłém tego wyrazu znaczeniu, nie wolno liczyć do Sławian ani wiodącéj ród swój od Sarmatów szlachty polskiéj, ani téż Jazygów i Madjarów na Węgrzech……

Z podobnéj przyczyny należałoby także wykluczyć z rodziny sławiańskiéj Czechów, którzy zupełnie zkądinąd pochodzą, jak Wendy i Skytowie, to jest z Teukrji czyli Troady, gdzie budowali grody i trudnili się rzemiosłem; inaczéj bowiem nie podobnaby wytłómaczyć sobie ich dziejów pierwotnych, ani właściwości narodowych, jakie po dziś dzień zachowali. Ich znamieniem narodowém nie jest rólnictwo wendyjskie, lecz przemysł teukro-lydyjski, a ponieważ ci północno-alpejscy Trojańczycy od samego początku dziejów swoich umieli sposobem Teukrów zapewniać sobie byt w grodach warownych i obronić się najezdnikom, — to téż nie doznali losu Sławian czyli niewolników, jak to niestety się stało z wszystkiemi prawie ludami wendyjskiemi czyli rolniczemi……

Kymbrowie czyli Drewianie (zwani u Nestora Derewlanami) ubóstwiali byka… Łeb tego kymbryjsko-wendyjskiego byka widzimy dzisiaj jeszcze w herbie księstwa Meklenburgskiego, t. j. kraju Wendów, gdzie zamieszkiwali niegdyś Kymbrowie, zanim wyruszyli do Galji i Italji…..

Teutony, którzy wspólnie z Kymbrami najechali Italję, nie byli, pomimo swéj nazwy teutońskiéj, Niemcami, lecz Sławianami, tak samo jak ich wspólnicy; tuath bowiem oznacza i księcia, i północ, i tłum ludu (łacińskie totus). Dla tego téż po dzień dzisiejszy jeszcze Madjary węgierscy zwią tót Słowaków, którzy przecież niezaprzeczenie do Sławian należą…..

Tych Kymbrów (z pod Ariowista) zwano powszechnie Markomanami, tą nazwą zaś, która żadnego nie ma znaczenia etnologijnego, chrzcono pewne oddziały wojskowe, jak n. p. Umbrów czyli Ambronów, przeznaczone do strzeżenia granic. Takie straże wystawiał na granicach swoich każdy naród, który miał chciwych łupu sąsiadów, a przedewszystkiém broniły się tym sposobem ludy rolnicze od szczepów koczujących. Kymbrowie, jako naród rolniczy, musieli koniecznie utrzymywać podobne straże Markomanów lub Ambronów, czego zaś nie potrzebowali Swewowie, którzy wyruszając z Azji z zamiarem zdobyczy, żadnych nie znali granic. Z tego jedynego już powodu wnioskować należy, że Markomany nie byli Swewami, aczkolwiek w sprzymierzu z Ariowistem pod jego służyli dowództwem…..“

Pan Obermüller opiera swe wnioski głównie na językoznawstwie porównawczém, grupując przybywające z Azji do Europy ludy wedle kast, do których pierwotnie należały. I tak mieni wszystkich rolników i chodowników bydła Wendami czyli Sławianami, wojowników Niemcami, przemysłowców Czechami, co do których zapowiada w toku swéj rozprawy drugą pracę, mającą uwydatnić wędrówkę ich z Teukrji przez Thrakję do Czech, oraz i pokrewieństwo ich z Jończykami i Spartami, z Makedończykami i Aitolami czyli z Toskarami illyryjskimi, z mieszkańcami południowéj Albanji i wreszcie z Tuskami włoskimi.

Obecną rozprawę p. Obermüllera zawdzięczamy postawionéj przez Dr. Henryka Wankel hypotezie, zamieszczonéj r. 1872 w niemieckiém czasopiśmie „Mittheilungen der Wiener anthropologischen Gesellschaft“, jakoby znaleziony w jaskini Byczejskały, w Morawji, bronzowy posążek przedstawiający byka, stał w pewnym związku ze czczonym w Egipcie Apisem. Przeciw temu przypuszczeniu wystąpił Dr. Józef Karabacek, dowodząc, że przed Sławianami inne jeszcze narody żyły w Morawji. Tak zaczepiony Dr. Wankel cofnął wypowiedziane w tym względzie zdanie, które pan Obermüller przeprowadza w powyżéj wspomnianéj rozprawie, starając się udowodnić, że pierwotnymi mieszkańcami Środkowéj Europy byli Sławianie, i że pierwotnych Niemców (Urdeutsche) wcale w Europie nie było.

E. Callier.

ROZMAITOŚCI.

— **J. F. Guniewicz**, przybyły do Poznania, jest jedną ze znakomitości muzycznych jako kompozytor i biegły wykonawca i dyrektor orkiestr. Jego oratorja: „Niewola Babilońska“, „Koniec świata“, „Noc straszna“, „Szkielety“; jego opera: „Djabeł w Karpatach“, „Polonezy“ itp. przez krytykę lipską i wiedeńską zaszczytnie cenione zjednały mu tytuły świata muzycznego, jako to: członka honorowego „Besedy umeleckiéj“ w Pradze, doktora w muzyce itd., oraz stanowisko dyrektora Tow. Muzycznego w Krakowie, gdzie go berłem honorowém i wieńcem z lyrą odznaczono. Oprócz kompozycji rzucił się Dr. Guniewicz na koncerta instrumentalno-wokalne w których ze znaczném powodzeniem i uznaniem wystąpił w Krakowie, Lwowie, Wiedniu, Pradze, Czerniowcach, Carogrodzie i innych miejscach, — a ninie w Poznaniu ma zamiar dać poznać światu muzycznemu i wartość swych kompozycji i umiejętność w kierowaniu koncertami, na których po 400 osób występowało we Wiedniu, Pradze i Carogrodzie. We Wielkopolsce jest po raz pierwszy, a że nie ma talentu szarlatanerji — tyle niezbędnéj przy uzyskaniu sławy europejskiéj rozgłośnéj, którą się kupuje najpierwéj złotem, opłacając recenzentów i klakjerów, — przeto jest mniéj znanym niż niejedna mniéj od niego warta europejska muzyczna gwiazda.

* * *

— **Erazm.** „Przy studni.“ Kraków, nakładem A. Nowoleckiego. 1874. 8o, 28 str.

Mała broszurka z tym tytułem: „Przy studni“, a z drzeworytem z fotografji, pod względem rytownictwa starannie (oprócz rąk) z czuciem wykonanym, wyobrażającym przy studni siedzącego p. Ładnowskiego z panią Hoffmann, artystami teatru krakowskiego, zaintrygowała nas — swą zagadkowością. Ze zajęciem doczytaliśmy się wybornego rozbioru i krytyki nie samego dramatu: „On ne badine pas avec amour“ Alfreda de Musset, którą znakomicie przetłómaczył na polskie Władysław Sabowski, — ale i gry saméj najważniejszych aktorów.

Nie zdarzyło nam się w polskim języku spotkać z taką elegancką, prawdziwie artystyczną pracą, mogącą śmiało stanąć jako wzór do rozbioru i krytyki dramatycznéj — tak dzieła jak i sceny. Pragnęlibyśmy z całéj duszy, ażeby autor zasypał nas takiemi recenzjami a przysłużyłby się niepospolicie do wykształcenia dobrego smaku i dobrego sądu o sztukach teatralnych, — na które uczęszczamy po większéj części z uczuciem ciekawości, którą często byle co zadowolni. Po przeczytaniu dopiero takiego dziełka jak „Przy studni“, iść na przedstawienie: „Ostrożnie! z ogniem“ raz jeden, więcéj znaczy — niż patrzeć się na setki przedstawień dramatycznych, — w których nie umiemy sobie ani zdać sprawy z tego co się widzi i słyszy, ani i czego się powinno i czego można wymagać po aktorach.

Upraszamy p. Erazma o więcéj takich publikacji, bo milcząc — krzywdę nam czyni.

Skrzynka do listów.

— Na zapytanie 10: „Czy gęś, prosię, cielę i osioł są bogato czy skąpo uposażone rozumem?“ mamy taką odpowiedź urzędowną wprost od interesentów nam przez Chochlika wręczoną:

Że w niewoli, do warunków przez was ludzi mnie przepisanych nie zawsze tak umiem zastósować się, jakbym to umiała gdybym była w stanie wolnym, gdzie bez ludzkiéj pomocy umiałabym obyć się zgoła, — dla tego mnie odmawiacie rozumu. A czyż wy ludzie umiecie się znaleść i zastósować do waszych stósunków przy ograniczonéj swobodzie? Jeżeli tedy jeszcze gorzéj sobie postępujecie — jak my — bo i was i skubią i biją i jedzą — a wy sobie rady dać nie umiecie z równymi wam, — toć w tych samych okolicznościach — mądry nibyto człowiek jest tak mądrym jak i ja słabiuchna w obec niego

Gęś.

Zkąd kompromitujecie nasz wesoły w młodości ród — jako ograniczony — rozumem? My dobrze wiemy, że przy zaniedbaném wychowaniu i z was gdy które wyrośnie — stanie się z młodego prosiątka — w całém znaczeniu — stare — nie

Prosię.

Im kto użyteczniejszy ludziom — z całéj duszy i z całego ciała — tém mniéj zażywa szacunku i poważania. Wiem ja — że jak mój towarzysz poprzedni — kandydat do kubla — tak i ja, do ostatniéj kropli krwi — do ostatniego włoska stanę się waszym najulubieńszym przysmakiem lub najdogodniejszą przysługą. Więc nie dziwię się wcale, gdy mnie porównujecie z ludźmi — którzy dobrodusznością — są wam tyle przydatni co i ja

Cielę.

Wszystko co człowiekowi nie staje się bezwzględnie posłusznem, co nie ulega jego woli lub widzimisię, co mu się nie pozwoli użyć według jego zamiarów — to wszystko dla niego jest głupiem lub do niczego, chociażby on był taki jak ja

Osioł.

* * *

— Na zapytanie 11: „Który z pisarzów wypowiedział zdanie: „„Gdyby mi Bóztwo podało na jednéj dłoni wiedzę, — a na drugiéj środki ażeby ją osięgnąć — to chwyciłbym za drugą“; — otrzymujemy następną odpowiedź:

„Autorem tym jest niewątpliwie Lessing, lubo nie mając pod ręką dzieł jego, nie umiem powiedzieć w którém miejscu, i w jakiéj okoliczności to powiedział.“

* * *

— Na dopełnienie do zapytania 13 (str. 128 Tyg. Wielk.) zdaje się, że znajdujemy odpowiedź w dziele przez nas wzmiankowaném na str. 136 Tyg. Wielk.: Alexandra Weryhy Darowskiego „Przysłowia odnoszące się do nazwisk szlacheckich i miejscowości.“ Poznań, 1874. J. K. Żupański — na str. 197 pod artykułem: Wenden.

Przed r. 1660, do Polski prawnie tylko należały Inflanty, bo właściwie już w r. 1620 stracone. Było tam trzy województw niegdyś: Parnawskie, Dorpackie i Wendeńskie. Chociaż zaprowadzały się w Inflantach porządki i urządzenia polskie, jednakże ziemstwa nie rozwinęły się tak, jak w koronnych krajach, i to rzecz naturalna, czasu brakowało; nic się nie robi od razu, ale koleją, krok za krokiem. Urzędy Inflandzkie w dobie 1620—60, jeszcze usprawiedliwia prawo, byli zawsze tam trzéj wojewodowie, trzéj kasztelanowie, a czemużby nie mieli być podkomorzowie i chorążowie przynajmniéj? — Ale kiedy Inflanty przepadły dla Korony, zkąd być tam urzędom? Zostało się około Dynaburga kilka pasów ziemi staréj Inflandzkiéj, te zamieniono na województwa. — Tam również nic dziwnego, że rozwinęło się ziemstwo całe i w komplecie przez wiek XVII—XVIII. Ale w Parnawie, w Dorpacie i w Wendenie? — Tam już nie było ziemstw i szlachty polskiéj. Nic to wszystko jednakże nie przeszkadzało do starania się o wendeńskie i dorpackie urzędy. — Jeżeli szlachcic nie doczekał się cześnikowstwa w swojéj ziemi, albo województwie, — dobrze mu było pochwalić się przed swoją powiatową bracią, chociaż cześnikowstwem wendeńskiém. Mniéj było nawet kłopotu w staraniu się o urzędy urojonego województwa, bo te zawsze wakowały, a kancelarja koronna nie robiła trudności w sprawdzaniu wakansów, nie odmawiała nigdy. To też jeżeli w innych województwach, ziemiach i powiatach, jeden zawsze był urzędnik ze swoim tytułem, w Inflantach zawsze było ich po kilku, a przynajmniéj być mogło.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.